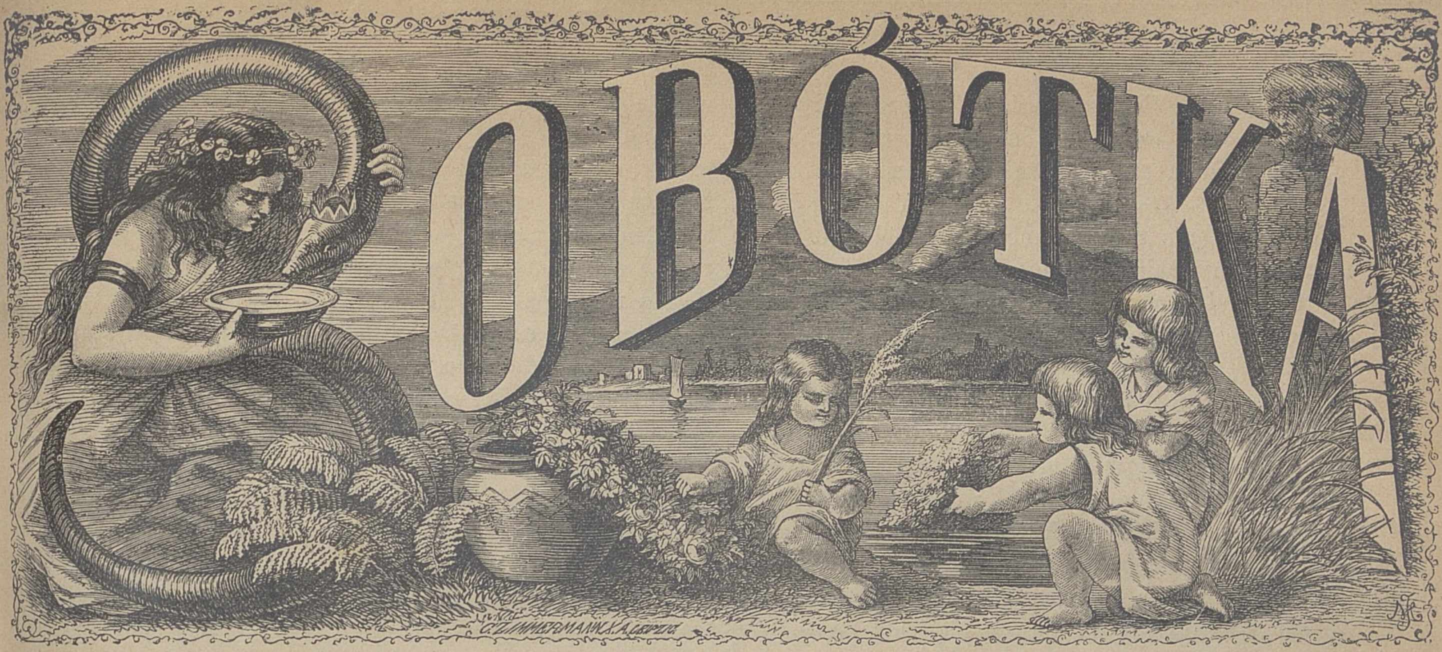


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach miesięcznych po 5 sgr.

№ 6. Poznań, dnia 6 Lutego 1869. Rok. I.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

(Dalszy ciąg.)

— A czy z dobrą wolą? rzucił z uśmiechem rzewnym Kniaziewicz.

— Z dobrą wolą, ze szczerém i kochającém sercem, odrzekł Żurowski, ściskając młodzieńca serdecznie.

Nazajutrz rano odwiedził chorą zacny doktór i rad był, żo stan jéj znacznie się poprawił. Usiadłszy przy łożu, wziął ją za rękę, badał uderzenie pulsu, poczém uśmiechnął się wesoło i całując trzymaną dłoń prezesowéj, wyrzekł.

— Pani moja kochana! Dziś troszkę z łóżeczka powstaniemy w południe: posilimy się kropelkami, które zaraz zapiszę, rosołkiem z cielęciny i kurcządkiem pieczoném: a we dwie godziny znowu do łóżeczka na spoczynek: ja tu przyjdę na egzekucyą,

Prezesowa uśmiechnęła się, patrząc na rozradowane oblicze męża, który gładził czupryne i pokręcał wąsy, co zawsze było znamieniem dobrego humoru. Około południa, kiedy usiadła w sali otoczona panną Teklą, Brygidą i córką, wszedł Kniaziewicz i doręczył jéj list od jenerała. Drżącą ręką rozpieczętowawszy go, przeczytała następne słowa:

„Nie mogę Bóg widzi, nie mogę zamilczeć, bo co słyszę, czytam, piorun we mnie uderzył. Względem plotków można się zaspokoić: Rotmistrz Potocki, który jest tegoż województwa ze mną, może zaświadczyć, że mam dziedzictwem wieś i sam trzymam ją. Niekażesz już mnie pisać, moja matuniu, znać, że już po wszystkiem, znać, że się nakłoniła do perswazyi, znać, że już i od niej oddalony na zawsze zostaję, znać, że prędko o swej przyjaźni zapomniała. Czynię z rozkazu zawsze matki mojej i jej, która zawsze w mem sercu będzie. Już nie będę pisywać, nie będę i bywać, aby trucizną wzrok jej dla mnie nie był. Nie będę już w domu waszym, bobym sobie przypomniał okrutność losu mego. Niechże was zawsze jednak opatrzność najwyższa błogosławi, a więcej już i pisać nie mogę.“

Tadeusz [1])

Zacna matrona po odczytaniu tego listu zasępiła oblicze, a dwie łzy spadły na podpis jego imienia. Tocia, która zbladła uważała każdy ruch matki, widząc te łzy, porwała list i czytać zaczęła. W miejscu, gdzie znalazła wątpliwość o swém przywiązaniu, uśmiechnęła się rzewnie, pokiwała główką, a gdy skończyła, pobiegła do swego pokoju. Tu drżącą ręką skreśliwszy kilka wyrazów, zwiniętą kartkę podała przyjaciółce, która i od siebie dodawszy przypisek, doręczyła ją Kniaziewiczowi. Widać, że potrafiła wszelkie usunąć podejrzenia w sercu Kościuszki, bo nad wieczorem, obiedwie czytały następny bilecik, zaadresowany do dwóch Teklusiów[2]).

„Nie wiem do kogo mam napisać, czy do pierwszej Teklusi, czy do drugiej: ale to wiem, że pierwszą kocham, a drugiej największym jestem przyjacielem. Obiedwie mnie coś wyrzucają do czego nie czuję się. Do pierwszej sposobności nie miałem pisać i przez Kniaziewicza teraz odpisuję: druga oskarżać siebie powinna, że w zapomnienie puściła przyjaciela tak dobrego. Powiadają mi, że Orlewska dobrodziejka już się zapatrzyła na jednego, i ten zranił jej serce do miłości. Tekluniu! gdy będziesz pisać, przyślej mi razem jeden koral

[1]) Tak ten list, jak wszystkie przytoczone poniżéj, są wiernie przepisane z autografów Kościuszki.

[2]) Tekla Żurowska i Tekla Orlewska.

z szyi twojej. Niech opatrzność w płaszcz szczęścia zupełnego obwinie ciebie, a o mojéj stateczności, szacunku, uszanowaniu, bądź zawsze przekonaną.“

Tadeusz.

Po przeczytaniu tych słów obie przyjaciółki z uśmiechem radosnym spojrzały sobie w oczy, ujęły się za ręce i tak stały, pdy panna Brygida weszła. Podały jéj list jenerała: ciotka skończywszy go cały,

— Zacny kawaler! — wyrzekła, — godny twojego, Tociu, serca: a tajemnica Tekluni nie ukryła się przed nim!

Prezes widząc ciągły smutek żony, dał na wotywę do Fary, którą pobożnie wysłuchał z całą swoją rodziną. Był to dzień sobotni, dzień Matce Boskiéj poświęcony: osłabiona matrona modliła się gorąco do téj orędowniczki smutnych, sierot i opuszczonych. Za powrotem z kościoła Żurowski prosił siostry, aby sutą przygotowała kolacyą bo cały sztab jenerała będzie wieczorem.

— Panienka moja, dzięki Bogu! zdrowsza (mówił): potrzeba jéj rozrywki! to ją orzeźwi; idę zaprosić także poczciwego doktora.

Panna Brygida pospieszyła do swéj siostrzenicy uwiadomić ją o tém.

— W niezwykle dobrym humorze uważałam pana brata: nie wiem co to się święci: ale panny dopomóżcie mi, żeby wystąpić należycie i wzywam was do siebie na sejmik.

Kiedy we trzy radziły o przysmakach kolacyi a stary kucharz Franciszek w białéj szlafmycy, z fartuchem i nożem za pasem, oczekiwał na rozkazy, prezes już wracał od doktora, gdy usłyszał tętent koni i gwarną, wesołą rozmowę.

Jechał na czele Raciborski, wywijając na wszystkie strony zgrabnie swoim wierzchowcem. Za nim rotmistrze Potocki i Zaremba — w ostatku z opuszczoną głową na piersi, zadumany i milczący Kniaziewicz. — Na widok prezesa pospieszyli do niego, serdecznie witając. Żurowski uścisnął podane sobie dłonie, a Kniaziewicza prosił, że ma z nim na uboczy pomówić. Zeskoczył więc z konia, oddał go luzakowi i gdy obaj rotmistrze z Raciborskim po przyjęciu zaprosin na wieczerzę odjechali galopem, prezes, trzymając pod rękę Kniaziewicza, zawrócił do Zwierzyńca i długą rozmowę rozpoczął. Znać treść jéj nie była smutna, bo młody wojak z rozjaśnionem obliczem skoczył na siodło i z kopyta się puścił. Ale osadził konia w miejscu pod oknem otwartém mieszkania prezesostwa, bo w nim stała panna Tekla i wdzięcznym go powitała uśmiechem. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Światy.

Z pajęczych tkanin, z dziecięcych snów
Mam ja krainę wybraną,
W tęczach się kąpie, w woni róż i bzów
Dziedzictwo moje i wiano.
Ani niebiańska, ani podziemna,
Lecz moją, moją jest własną
Kraina cudów piękna, tajemna —
W méj piersi dla niéj nie ciasno.

Nie czczych, zwodniczych uroków czar
Źrenicę moję olśniewa,
To nie zapusty wybladłych mar; —
Tam słowik godziny śpiewa,
Tam z łez i świateł majowe deszcze,
Tam pragnień lęk, wielkie uczuć dreszcze,
Tam bujno, pełno, gra,
Jak piorun w iskierce —
A kraina ta:
To moje serce:

* * *

Niema tam
Żelaznych bram,
Ani straży w zbroi;
Odpiera gniew
Zaciszny śpiew,
Uśmiech ból ukoi;
I odświętna, rzewna błogość
Owiewa te światy,
Więc tam wejść nikt nie zdoła
Bez godowéj szaty.
A ktoby się tam ze zdradą
I nieczysty wejść ośmielił,
Żar krwi w oczyby mu trysnął
I na proch spopielił.

* * *

Wiecznie u mnie
Gwarno, szumnie,
Tam, jak w domu, wszyscy
Przemieszkują i świętują
Moi, moi blizcy.
Obdzielamy się wzajemnie,
Prawda nam opłatkiem,
Głos i dłoń i wzrok przejrzysty,
Są nam wiernym świadkiem.
A więc radosne słychać odgłosy:
Bądźcie mi pozdrowieni,
O wy najpierwsi, wy najbliżsi,
Moi rodzeni!
Błogosławiony, komu jest dane
Ciche wśród swoich miejsce u ogniska;
Tam w piersiach biją źródła dobréj woli,
Tam czci, miłości, tam cnoty kołyska! —

* * *

I mądrości głośne zdroje,
I dziewczęcych oczu ognie —
Męty jeno, niepokoje,
W których dusza aż się pognie.

Dziwneż to rozstajne drogi,
Boleściwe to otchłanie —
Gdzieś w oddali — niebios progi,
A w życiu — ciągłe konanie.

Dla igraszki dusznych skrzydeł,
Dla tęczowych złudzeń tłoku,
Dla objawień — a mamideł;
Szkoda łzy w płomiennem oku.

Niema mózgowych dogmatów,
A dziewczyna — bańka, cień;
Opętanym od tych światów
Nie zaświta nigdy dzień!

By z mateczników wiedzy się wydostać,
W opałach serca nie maleć,
Aby sumienia przykazaniom sprostać,
Nie zwątpić, ani oszaleć;

Trzeba za sen mieć — wszelkie sny złote
A żywe życie mieć za wszystką cnotę!

* * *

Jest, o jest zielone, szczęsne
Człowiecze wesele:
Z wami w drogach życia wytrwać,
Z wami — przyjaciele!
Dla was uścisk, o słoneczni!
Rękami obiema —
Po za życiem tém, dłoń w dłoni,
Tu pokoju niema.

Z wami razem z serc sielanki
Na bezbrzeżne światy
Leci duch i dać się gotów
Cały na objaty.

Rośnie nam kraina cudów,
Orzeł zwisł na na niebie:
Naprzód, wspólnie, siać nam, orać,
Po ojczystéj glebie!

Kraków, 1867.

Alf.*)

*) Alf poeta i Alf, kronikarz warszawski Sobótki, są dwie różne osoby, które przypadkiem ten sam sobie pseudonim obrały.

Zmartwychwstanie z trumny.

Obrazek z niedalekiéj przeszłości

skreślił **Stefan Chorm.**

(Dalszy ciąg.)

A teraz wiara do mnie — w koło!" zawołał gromko dowódzca. „Moskwa chce nas otoczyć, lecz my musimy się przebić i tu właśnie nie wiele Moskali. Możemy więc śmiało na nich uderyć i przedrzeć się w inne lasy. Tylko się razem trzymać i śmiało iść na Moskali. Sformujcie się!" — Piorunem znów wszystko stanęło w porządku. — „Wy zaś przyjacielu," rzekł dowódzca, zwracając mowę do gajowego, „nie macie u nas co robić, oddalcie się spieszno w tę stronę — i wskazał mu ręką — bo tu lada chwilę bój się zacznie."

Szczęk broni, nabijanie, komenda, bliskość nieprzyjaciela wywiera wpływ na żołnierza. Tém bardziéj wpłynęło to wszystko na niewojennego ducha gajowego. Ruszył więc spieszno, potém zaczął pędzić i krzaki sarniemi susami przesadzać, aż ruch wierzchołków krzewin wskazał, iż nieborak het gdzieś się już znajduje.

„Strzelcy! w łańcuch się rozwinąć! — zagrzmiała komenda. — Cicho i bez łoskotu marsz do krańca lasu!" Łoskot krzaków, rozsuwających się pod stopami strzelców, niemiłe robił wrażenie. Za nimi postępowała ponuro kolumna kosynierów w rozwiniętym szyku. — „Pamiętaj w przypadku ciężkiéj rany dobić mnie na miejscu, by się potém nademną nie pastwili. — Tak, czy owak! zawsze mnie choć rannego, kulka czeka jako dezertera." — Ledwie wymówił te słowa pułkownik, padł strzał i rozgłośnie się odbił po lesie. W téj chwili dały się słyszeć i inne salwy i rozpoczęło się strzelanie. — „Strzelcy naprzód, hurra dzieci!" zawołał dowódzca, a wiara rzuciła się na linią bojową.— W tém zatrzęsło się silnie powietrze i huk zagrzmiał potężny. Rotowy ogień rozpoczęli Moskale. — „Śmiało za mną! hurra!" silny okrzyk pułkownika przez cały oddział wtórowany, zatętniał raźno po sercach wiary. Skoro Moskale ujrzeli naszych, odważnie ku nim pędzących, zaczęli spiesznie cofać się w drugą część boru. — „My teraz w prawo! strzelcy odstrzeliwać się! dojdziemy zaraz pola i przez nie dostaniemy się do wielkich lasów!" — zawołał pułkownik. Tu i owdzie jednak jęczeli już ranni. Moskale wciąż jeszcze się cofali i kule ich mało dolatywały.

Już dobiegli nasi krańca lasu i wpadli na rozciągniętą konnicę moskiewską. — „Ognia i hurra na nich!" — Wtém huk karabinów zagłuszył komendę pułkownika. Tuman i tętent koni rozległ się w około. Nie był to atak, ale rejterada konnicy moskiewskiéj, a kilka koni, biegających bez jeźdźców, dowodziło, iż strzelcy brali na cel dobrze. — „Śmiało przez gołe pole!" — Ledwie wyrzekł to pułkownik, gdy schwycił się za piersi i upadł na ziemię. Adjutant przyskoczył. — „Marsz naprzód, tylko oddział ratować, zostawcie mnie, czuję się śmiertelnie ugodzonym!" — wymówił cicho dowódzca. Świst kul gęsty z boru i bliskość ścigającego nieprzyjaciela, nie dały unieść dowódzcy. — Odstrzeliwając się tylko raz po raz, oddział szybko cofał się przez pole. Z boku kozactwo, krzycząc „hurra!" zwolna za nim postępowało. — Ledwie się trochę bitwa uspokoiła, wpada oprawców rozbestwionych zgraja i szuka rannych, i w mgnieniu oka ich obdziera. Kilku kozaków, ujrzawszy z daleka pułkownika, przypada z krzykiem do niego, kłuje go z konia pikami i obrzuca klątwami bez miary.

„Już zdechł sobaka!" — krzyczy jeden kozak, zsiada z konia i obdziera pułkownika do naga. Pułkownik nasz żył jeszcze, lecz dech zatrzymał, podczas gdy go kozak z rzeczy ogołacał. Tenże niezadługo, rzuciwszy jakąś klątwę na lacha buntowszczyka, kopnął go w głowę, wskoczył na konia i popędził daléj wraz z szatańską czeredą szukać nowych łupów. Grzmot bitwy coraz bardziéj się oddalał. Już z wioski sąsiedniéj ukazały się wozy i ludzie po rannych, lecz rozjuszone kozactwo wzbrania im przystępu do pobojowiska. — Kilka Polek dojeżdża pomimo gróźb i klątw kozaków do pułkownika, co dowodził wojskiem, prosząc go o pozwolenie zbierania rannych. Z początku ociągał się pułkownik, lecz namyśliwszy się pozwolił . . . pewno z téj przyczyny, iż nie było już kogo dobijać.

Chcąc pokazać swój wysoki stopień cywilizacyi, powiedział odjeżdżając damom jakieś dusery po francuzku, które mu się przypomniały z czasów, gdy, w gwardyi służąc w Petersburgu, miał romansik z aktórką francuzkiego teatru. Poczciwe panie zaczęły zbierać nieszczęśliwe ofiary, rozrzucone po lesie, kierując się ich jękami. W dali huk strzałów grzmiał jeszcze jakoby fala. Wśród boru odbijały się płacze i jęki kobiet nad rannymi, albo właściwiéj rozsiekanymi, bo każdy z nich niezliczoną moc kul, pchnięć i cięć miał na sobie. Lud wiejski pomagał w zwożeniu, wieśniaczki płakały głośno, a chłopi ponuro i osłupiałém okiem spoglądali na pomordowane ofiary.

Kierujący wkładaniem rannych na wozy obywatel zastanawiał się nad uderzającéj inteligencyi twarzą jednego rannego, lecz trudno było rozpoznać jego lica zbroczone krwią, pocięte i skłute. — „Ktoś pan jest?" — zapytał się rannego, lecz ten w omdleniu (a był to znany nam pułkownik) nie mógł mu odpowiedzieć. — Wolno ten okropny konwój postępował ku wiosce, towarzyszyły mu kobiety od boleści już oniemiałe. Raz po raz jęk rannego przerywał ciszę. — Słońce pokryło się czarnemi chmurami, nie chcąc spoglądać na to widowisko. Żaden się listek nie ruszał na drzewie, jakoby lasy oniemiały ze zgrozy.

Słońce już zaszło, nie pokazawszy się w tym dniu więcéj z poza chmury wieczór był latowy, parny — powietrze strasznie duszne. Dworek w wiosce stał się improwizowanym lazaretem: wszystkie pokoje zapełnione rannymi — meble powystawiane do ogrodu. Ranni poukładani na słomie, przy nich kręci się doktór, dwóch cyrulików i całe grono niewiast. Biała postać plebana

w komeszce, z krzyżem w ręku dysponującego na śmierć konających, uroczo-tragicznie świeciła w ogólnym zamęcie. Kto żył chciał się czemśkolwiek nieszczęśliwym przysłużyć.

Cudem prawie zjawiały się łóżka, pościel, bielizna, szarpie i t. d. Doktor rozpoczął kolejno rannych opatrywać; właśnie się zbliżył z gospodarzem domu do jednego z nich, gdy ten, zebrawszy wszystkie swe siły, rzekł: „Niech panowie opatrzą przedemną dowódzcę“ — i wskazał na swego sąsiada. „Dowódzcę?“ — zagadli zmięszany gospodarz i doktór i zaraz uklękli nad wskazanym rannym. Gospodarz poznał w nim ową twarz, która go w lesie inteligencyą swą uderzyła. — „Czyś pan jest....? i wymówił pseudonim pewnego dowódzcy, znanego ze swéj odwagi i zdatności. — „Tak!“ szepnął pułkownik. — „Na Boga! musi to zostać między nami tajemnicą, by się Moskale nie dowiedzieli“ — rzekł gospodarz i zostawiwszy doktora wybiegł. Niezadługo przeniesiono pułkownika do osobnego pokoju i oddano go pod szczególną opiekę żony i córki gospodarza domu. — „Nie robić żadnéj różnicy z nim, by przez to ludziom nie wpadł w oko“ mówił, doktor do pań, kręcących się około rannego. — Wkrótce zaturkotał wóz na dziedzińcu, z dworu wyszedł jeden z obywateli, a gospodarz, wsadzając go na bryczkę, szepnął mu do ucha: — „Musisz więc dogonić oddział, rozmówić się, by ktoś inny przez dni kilka dowodził pod jego nazwiskiem, ażeby pozostało tajemnicą, że tu leży ranny, póki go za granicę nie przewieziemy. — Ruszaj w imię Boże, chłopcze, a nie żałuj koni.“ — Ruszyły konie i wózek zginął w ciemnościach nocy.

Choć na niebie rumieniły się już dzienne brzaski,



nikt we dworku nie myślał o spaniu. Czuwano lub opatrywano rannych. Tętent się nagle dał słyszeć na drodze. Ledwie gospodarz zdążył wyjść przed ganek, gdy już wpadło kozactwo i w mgnieniu oka obstawiło dom i podwórze. Przyzwyczajony do podobnych hecy gospodarz strwożył się jednak dzisiaj, myśląc o rannym dowódzcy, który spoczywał pod jego strzechą. Niebawem pokazała się czereda oficerów i zsiadła przed dworem. Jeszcze nie powitał pułkownika gospodarz i nie zapytał się o przyczynę niespodziewanych odwiedzin, raczéj najazdu, a już komendant żandarmów powiatowych opryskliwie zagadnął: „Gdzie ranni?“ — „Tu leżą we dworze.“ — „To pan im swój dom odstąpiłeś?“ — „Gdzie miałem ich umieścić, czy w chlewie?“ „Ilu rannych jest wszystkich?“ — „Pięćdziesięciu i kilku; dziesięciu już w nocy umarło.“ — „A gdzie leży pan dowódzca? prowadź pan nas do niego — szydersko uśmiechnąwszy się, dodał — chcemy mu oddać wizytę.“ — Jakby grom uderzył w gospodarza i stojących w drzwiach sąsiadów i panie. — „Nie wiem, żeby miał być między nimi dowódzca“ — odpowiedział z pozornym spokojem gospodarz. — „Łżesz! pewnoście go już przechowali. My go znajdziemy — być musi, pojmać go!“ i wskazał na gospodarza kozakom. — Olechu Mikołajewiczu, chodź z nami! — i kiwnął na stojącego opodal kozunia — „odszukaj tego butowszczyka u którego znalazłeś papiery, bo ten jest dowódzcą“ — krzyczał komendant żandarmów.

— „Panie pułkowniku, za co mąż mój aresztowany?“ — zbladła, lecz groźnie zastępując mu drogę, rzekła gospodyni. — „Moja pani, zaraz będzie puszczony, jeżeli wyda gdzie leży dowódzca.“

„Pułkowniku, śmiało przerwał mu gospodarz — jako człowiek honoru, powinieneś pan czuć, iż gospodarz haṅbiącéj roli Judasza przyjmować na siebie nie może.“ — „Jeżeli go znajdziemy, to puścimy pana“ — odparł pułkownik i wszedł do dworu. — Na czele szedł żandarm, za nim ów kozak. Brzęk pałaszy moskiewskich obudził wszystkich prawie rannych. Kilku w gorączce, ujrzawszy złowieszcze twarze i mundury, zaczęło krzyczeć i zrywać się z łóżek, myśląc, iż Moskale wracają ponawiać swe mordy. Przed każdym stawał kozak i wpatrywał się, choć rzeczywiście lica ich były tak pocięte, zmienione, iż rodzona matka nie poznałaby tam od razu swego syna.

Z pomięszanemi twarzami postępowały panie za wietrzącą zdobycz czeredą. Właśnie doszli do pokoju, gdzie leżał pułkownik.

— „Podajcie mi pistolet, w łeb sobie wypalę!“ — błagalnym głosem zawołał pułkownik do otaczających go, skoro usłyszał obstawiających dom Moskali. Lecz nikt, ma się rozumieć, nie miał tyle odwagi, by mu oddać tę przysługę. Teraz z przeszywającym wzrokiem, jak lew konający, przywitał wchodzących Moskali, a kozak, skoro go ujrzał — „wot ten,“ wskazując na pułkownika, powiedział. — „To wy! — krzyknął komendant żandarmów — zdezertowaliście z pułku, złamaliście przysięgę, złożoną cesarzowi, dowodziliście bandzie buntowników.“ Pułkownik zerwał się na łóżku i przestraszającym głosem zawołał: — „Kiedy wiesz, com zrobił, to rób co twoja powinność każe. — Wiem, co mnie czeka! rozstrzelacie mnie, lecz ja się cieszę, że umrę za ojczyznę.... Raz tylko jesteście w stanie mnie zabić.... Nie lękam się śmierci!... Teraz zaś nie pastw się i nie krzycz nademną, duraku, bo przez to haṅbisz tylko własną armią....“ Chciał jeszcze coś mówić, lecz padł omdlały na poduszki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Napowietrzni złodzieje nad Wołgą.

(Z dwiema rycinami.)

Wiadomo powszechnie, że w kraju carów kradną wszyscy za białego dnia, począwszy od pierwszego ministra aż do najlichszego praporszczyka, lecz mniéj zapewne znanym jest szczegół, że ta skłonność do bezwstydnego zagrabiania cudzéj własności udzieliła się także i napowietrznym współmieszkańcom Moskali. Podróżny francuzki Moynet, który w roku 1858 zwiedzał posępne równiny europejskiéj Rosyi i trzymając się brzegów Wołgi, dotarł aż do brzegów morza Kaspijskiego, opowiada ciekawy przykład takiego zlodziejstwa ptaków, którego sam był naocznym świadkiem. Z pokładu statku, który go wiózł z Tweru do Kazania, przypatrywał się on w pobliżu miasta Romanowa gromadce rybaków, która się właśnie krzątała około wyciągnięcia sieci z wody. Na piaskach nadbrzeżnych siedziała czarna chmura ptastwa, które zdawało się za czemś czekać. Zaledwie sieć z obfitym płonem błysnęła na powierzchni wody, cały ten rój ptaków zerwał się z głośnym krzykiem i chciwie rzucił się na trzepocące się w niewodzie ryby. Rybacy bronili połowu swego wiosłami, lecz z niewielkim skutkiem. Łakome kruki porywały im niemal tuż z przed ręki najprzedniejsze szczupaki i karasie i unosiły na brzeg, gdzie je z wybornym spożywały apetytem.



Oburzony tą niesłychaną śmiałością ptaków Francuz dał ognia z obydwóch luf swéj flinty, pewny, że huk wystrzału spłoszy skrzydlatych rabusiów. Lecz gdzie tam! Dwanaście trupów posypało się tylko do rzeki, reszta zaś ptaków, pokrążywszy chwilkę ponad pobojowiskiem — wśród przeraźliwego krakania, spuściła się znowu na niewód. Żaden z nich z próżnym nie odleciał dziobem.

Być może, że ptastwo nad Wołgą z natury już jest żarłoczniejsze, niż gdzie indziéj, lecz nie ulega wątpliwości, że głównie niedołężność Moskali tak je rozzuchwaliła. Załączony typ nadwołżaṅskiego muzyka zdradza najwybitniéj niski stopień ich inteligencyi. Złośliwy Francuz, któremu kruki i gołębie (będące jako przedstawiciele Ducha Świętego w wielkiém poszanowaniu u Moskali) dały się nieraz dotkliwie we znaki, powiada że rząd proteguje te ptaki, ponieważ oczyszczają mu bezpłatnie drogi publiczne z nader licznych ścierw zwierzęcych, o które policya nie lubi się troszczyć. Jako cesarscy żandarmi nie dziw, że korzystają one z nadanego wszystkim czynownikom moskiewskim przywileju kradzenia i bezkarnie przeto wydzierają rybakom ich połów a małym dzieciom śniadania. e.

Kronika lwowska.

(S.) Ruchliwa natura téj polskości! Zastoju, bezczynności — nie cierpi! Raz tu, drugi raz ówdzie w tym wieku i tamtym — rozwinie się jak kwiat przecudny, zachwyci farbami, wonią i ... stuli kielich. — Kwiat więdnie, opada... Zda się ginie piękno, przepada skarb ducha.... Serce w żalu, dusza w żałości... zawiść nieprzyjaciół tryumfuje — aż tu, jakby czasów siłą, jakby cudów mocą, powstaje z popiołów piękno — bardziéj wielmożne, skarb bardziéj cenny jeszcze! Żyje polskość całą sił pełnią i tam nawet, gdzie objawów tego życia niktby spodziewać się nie mógł!... Wszakże to po Gnieźnie, Krakowie, Poznaniu — mazurska Warszawa daje prze-

wód życiu polskiemu! Wilno, Krzemieniec i Kijów szerzą polskość, do wieńca chwały narodu dodając nowe powiaty. A stolica Rusi Czerwonéj, Lwów stary, dziś oto podąża za swemi siostrzycami i sztandar narodowy na murach swych zatknąwszy, prowadzi daléj robotę wieków — pracuje nad wzrostem, nad spotężnieniem polskości. .. I patrzcie! Ani wpływ łacinizmu nie przeszkodził literaturze naszéj w w. XVI zajaśnieć taką piękną pełnią; ani psucie się i rozkład powolny szlacheckiéj Rzeczypospolitéj, wpływy złe Zachodu, nie przeszkodziły Konarskim myśleć o przyszłości narodu. Ani papinkowatość Stanisława Augusta i z tronem frymarki nie przeszkodziły mu radzić skutecznie nad podniesieniem się Polski na duchu, gdy upadała ciałem. — Ani rozbiór kraju i podział jego na części; ani ucisk i prześladowania, ani głoszenia, że Polski nie ma — polskości zniszczyć nie zdołały! Ona żyje w nas! żyć będzie w prawnukach — jak żyła w pradziadach! Bo w niéj jest siła rzeczywista! jest potęga, któréj nic przełamać, nic zniszczyć nie zdoła!

Konieczności siłą, czy wolą przeznaczenia — Lwów dzisiaj stał się ogniskiem życia polskości. Lecz czy jest nim, w istocie?... Zbyt niedawno jeszcze zaszczycony został tak wielkiém posłannictwem; od upadku powstania dopiero przejął na się obowiązki, ciążące na innych ogniskach życia polskiego; od dwóch lat dopiero oczy całéj Polski, oczy tych, którzy się nią interesują, są na Lwów zwrócone. — Przebaczmyż mu, gdy zadaniu nie sprostał, gdy wiele, bardzo wiele pozostało mu do zrobienia ... gdy jest dopiero u wstępu późniejszych swych działań. Ale jest już na dobréj drodze. Już się nasza Ruś z Krakowskiem do życia przebudziła; już jéj stolica Lwów przychodzi do zeznania swych obowiązków i zadość im uczynić usiłuje. Objawy życia zaczątkowe — są! Za niemi pójdzie życie samo!

„Z ciała jesteśmy i z ducha!" Myślimy też o jedném i o drugim. O kolejach żelaznych, bankach, stowarzyszeniach nowopowstałych u nas słyszeliście.... O szkołach i szkółkach, czytelniach, wydawnictwach — mniéj; ale i na tém polu sprawy nie zasypiamy.... Nie stoimy po za innymi w polityce; nauka znajduje i u nas swych reprezentantów; literatura nie mniéj doznaje starań, jak i gdzieindziéj; sztuki piękne — nie w upadku. Malarstwo ma Matejkę, Rodakowskiego i innych; muzyka wyżéj stoi u nas, aniżeli gdzieindziéj.... Jak powiadam: bezczynności zarzucić nam nie można; ale... mamy nasze: ale!... U wstępu jednak mych pogadanek, o ile to możliwe, chcę uniknąć stron ujemnych, które zapewne tylko dla kontrastu znajdują się przy dodatnich. —

Gdzie szukać objawów życia? Na giełdzie?... Ma ją Lwów, jakkolwiek w stanie nie zbyt świetnym.... Szukać go w handlu, przemyśle?... Na téj drodze niewątpliwie kraj nasz postąpił i postępuje! W stowarzyszeniach? Mamy ich — mówią niektórzy — do zbytku! Mnie się zdaje, że dobrego nigdy nadto! a stowarzyszenia, jeźli nie są samém dobrem, tedy dobremu służą. W literaturze? wydawnictwach? — I tu nie zasypiamy sprawy. Powstają nowe księgarnie; zakładają się czytelnie; drukują książki, wydają czasopisma, mnożą biblioteki.... Sztuki piękne znajdują orędownika w nowopowstałém we Lwowie Towarzystwie Sztuk pięknych, które z pożytkiem istnieje obok krakowskiego. Muzyka — w samym Lwowie tylko liczymy kilkanaście towarzystw, szkół, muzyki śpiewu. Na produkcyach muzykalnych nie zbywa nam wcale. Zwolennicy gry fortepianowéj — mają Mikulego; amator muzyki kwartetowéj — niech idzie na wieczory Szkoły muzycznéj K. Kozłowskiego! Chcecie teatru, opery, redut, balów? mamy tego, a szczególniéj ostatnich — aż nadto!... Ale czego nie mamy?... Ah! wielu rzeczy, wielu.... Ale o tém — potém.... Na zakończenie, podaję spis dzienników, bibliotek i t. d., wychodzących we Lwowie.

Pisma polityczne codzienne: Gazeta Narodowa, z dodatkiem pisma dla ludu p. t. Tygodnik niedzielny. Dziennik Lwowski, z dodatkiem Biblioteki polskiéj; Gazeta Lwowska, z dodatkiem statystycznym. Biblioteka Ossolińskich pod redakcyą p. A. Bielowskiego. Pisma polityczne nie codzienne: Wiadomości; Gazeta Wiejska, z dodatkiem Przyjaciela domowego. Dziennik literacki. Mrówka z dodatkiem Biblioteki Mrówki; Nowiny z dodatkiem Biblioteki Nowin; Strzecha z dodatkiem Biblioteki Narodowéj. Opiekun polskich dzieci. Szkoła, pismo pedagogiczne. Rękodzielnik. Wydawnictwo p. Młockiego (ludowe). Biblioteka teatralna. Czasopismo stenografów. Iris, sadownicze. Rólnik, gospodarskie. Nowiny księgarskie p. K. Wilda. Ogółem wydań peryodycznych: 25. Księgarni sześć, drukarni chrześciańskich siedm.

Towarzystwo pożyczkowe i lichwa.

II.

Podczas obrad parlamentu rzeszy północno-niemieckiéj w październiku r. 1867 nad zniesieniem praw, ograniczających lichwę, niemiecki deputowany Lasker, który, podobnie jak znany Schultze z Delitzu, gorąco się zajmuje Towarzystwami pożyczkowemi, oświadczył, iż i mniéj zamożni przemysłowcy lichwie czoło stawić mogą, skoro zostaną członkami jakiego Towarzystwa pożyczkowego. W tém to orzeczeniu p. Laskera spoczywa punkt ciężkości postulatu, czemu jak najliczniejszych potrzeba spółek pożyczkowych — by ze szpon lichwiarzy wydrzeć nieszczęsne ofiary. Znaglonemu do zaciągnięcia pożyczki rzemieślnikowi, który nie może otrzymać koniecznych kilkunastu lub kilkudziesięciu talarów z banku, lub od przyjaciela, tylko Towarzystwo pożyczkowe, a w braku tegoż lichwiarz da kredyt. Pożywną strawę stanowią dla chciwych lichwiarzy tacy mniéj zamożni przemysłowcy, z których umieją wyssać ostatki zasobów; — na opłacenie wygórowanych procentów dzień i noc pożyczający musi pracować. Ci, co raz stanąwszy nad przepaścią nieszczęścia lub nędzy, wyciągnęli rękę do lichwiarza, a ostatnim talarem, przeznaczonym na wyżywienie rodziny, opłacać muszą prowizye, ci nieomal wszyscy giną w nędzy i brudzie, jak tysiączne okazują przykłady, gdyż więcéj przyrzekają opłacić prowizyi, niż pożyczoną kwotą można zarobić. Niebaczni tracą swoję pracę, zdrowie i siły na korzyść lichwy, któréj nie mogą się pozbyć, albowiem zarobek (zysk) zaledwie wystarcza na pokrycie procentów, rzadko na utrzymanie domu, a nigdy na zwrot kapitału. Kto raz się zagmatwał w sieć, jaką umieją zręczni lichwiarze zarzucić, ten przestał pracować dla siebie i swéj rodziny, dla kraju, a został służalcem, wyrobnikiem lichwiarza.

Konieczność zaciągnięcia pożyczki niestety zbyt często wśród nas się okazuje, trzeba więc pieniędzy, któreby na innéj, tańszéj drodze niż od lichwiarza pożyczyć można. Tą drogą są kasy Towarzystw pożyczkowych, u których za nizkie stosunkowo prowizye, przy okazaniu pewności zwrotu kapitału, można zaciągnąć pożyczkę. Nie trudno takową pracowitemu, oszczędnemu przemysłowcowi lub właścicielowi i dzierżawcy mniejszych posiadłości zwrócić, gdyż nizkie płacąc procenta, kapitał wyłożony na jakie przedsiębiorstwo rzetelne, się wraca.

Nadto w towarzystwach pożyczkowych dług zaciągnięty oddaje pożyczający w ratach, z góry przez siebie oznaczonych, w ratach, w jakich może część kapitału, mającą być oddaną, zapracować. To też w każdém miasteczku, nawet i po wsiach, powinny się znajdować Towarzystwa pożyczkowe. — Tam, gdzie istnieją, niechaj każdy, czy chwilowo potrzebuje pożyczki lub nie — do nich przystąpi - gdyż im więcéj członków liczy każde towarzystwo, tém większym rozrządza kapitałem, tém więcéj kwot może wypożyczać, tém więcéj ofiar wydrzeć lichwiarzom, tém więcéj ludzi, przeznaczonych przez lichwę do torby żebraczéj, wróci krajowi, rodzinie.

— Tam, gdzie jeszcze nie istnieją Towarzystwa pożyczkowe, trzeba koniecznie takowe założyć, bo tém mniéj będzie żebraków, tém więcéj porządnych rzemieślników, przemysłowców. zamożnych włościan. W jaki sposób zakładają się Towarzystwa pożyczkowe późniéj kiedy pomówimy, — szczupłe ramy „Sobótki" nie pozwalają rzeczy téj od razu rozprowadzić — chcieliśmy kwestyą Towarzystw pożyczkowych, które dla kraju naszego stały się koniecznością, przedewszystkiem poruszyć — późniéj więcéj o téj materyi pomówimy.

Mieczysław L.

Sobotnia pogadanka*).

Wypłynęliśmy nareszcie na pełne morze karnawału. Herbaty, wieczorki, bale, koncerta i przedstawienia teteatralne amatorów posypały się jak z rogu Amaltei na nasze dotąd tak spokojne miasto. Płeć piękna nie może nastarczyć już strój, młodzież upada pod nawałem „nogo-logicznych" ćwiczeń, a nieszczęśliwy kronikarz sobotni traci głowę w tym zamęcie. Jak ów derwisz z Tysiąca nocy i jednéj, któremu wróżka ukazała pieczarę z zaklętemi skarbami i dozwoliła wziąść z nich tyle, ile z sobą uniesie, woła on z westchnieniem: Za wiele, za wiele tych dobrych rzeczy naraz! Czemuż nie mam stu ocz i stu języków, ażeby mógł wszystko wzrokiem objąć i godnie wyśpiewać? - Byłaby to epopeja, długa jak noc grudniowa, lecz ulotna, fantastyczna, jak senne marzenia po balu, pełna lubieżnych pląsów, podartych tarlatanów, uroczych tajemnic gorsetowych, strzelających korków szampańskich, słodkich szeptów i cichych.... komeraży. Szczęściem jeden z starszych moich braci w atramencie wyręcza mnie potrosze w kronikarskiéj pracy i feletonowe zapiski o toaletach greckich i niegreckich wciąga ochoczo do wielkiéj kladdy Dziennika! Lecz to tylko jedna mina w karnawałowéj kopalni, którą niebawem żur wielkopostuy tak jak woda Wieliczkę zaleje. Trzeba więc coprędzéj choć pobieżnie oglądnąć jéj skarby.

Nie tracąc czasu na zwiedzaniu całéj sieci chodników i komór, w których prywatne tętnią wieczorki i koteryjne zabawy, stańmy odrazu w samém ognisku mięsopustnego ruchu, dokąd się wszystkie jego promienie z miasta i prowincyi schodzą. Jest to wielka, przestronna świetlica z posadzką która zazwyczaj lśni się jak zwierciadło, pewnego razu jednakże — a w świeżéj mamy to pamięci — tylko woskowemi popstrzoną była piegami. Któżby jéj nie znał w Księstwie lub o niéj przynajmniéj nie słyszał? — Wielka salo Bazaru, dziw się, że na cześć twoję jeszcze nikt pochwalnéj nie napisał ody. W tobie bowiem najwidzialniéj bije tętno publicznego życia Wielkopolski! Tyś jest naprzemiany to radnicą wszystkich komitetów, walnych zjazdów, doraźnych mityngów, to znów centralną areną tanecznych igrzysk i maryażowym bazarem.

— Gdyby kto usłyszał naraz wszystkie koncertowe dźwięki, które się o ściany téj sali odbiły, padłby bez ducha, znajdując w tém morzu harmonii słodszą śmierć, niż książę Clarence w beczce małmazyi. Zebrawszy zaś wszystkie patryotyczne wykrzykniki i krasomówcze fajerwerki, spalone przy różnych okolicznościach w jéj murach, mógłbyś niemi cały kraj od Warty do Dniepru wśród najtęższego ogrzać mrozu.

Lecz każmy już zapalić wszystkie pięć pająków u stropów tego przybytku i wejdźmy doń wieczorem, w chwili rozpoczęcia balu Jakże różny przedstawi nam się widok według tego, czy zabawę tę urządza dobroczynny a pełen dystynkcyi komitet damski św. Wincentego, czy też nasze Koło Towarzyskie.

W pierwszym razie ujrzymy już po ósméj godzinie wiele obiecujący ruch w garderobie i bufetowym kurytarzu. Gospodarze bowiem i dostojne gospodynie balu, które na takich miłosiernych schadzkach są de rigeur, przybywają wcześnie fortyfikować ciasny przesmyk między przedsionkiem a salą. Żaden okręt ni fregata nie przepłynie tym Sundem na otwarte morze bez złożenia poprzednio daniny, któréj wysokość każdy sam według swéj ochoty i kieszeni oznacza. Pubuliczność schodzi się szybko, tak, że o dziewiątéj tańce w najlepsze się już rozpoczynają. Stroje zwykle są świetne, a towarzystwo przeważnie śmietankowe.

Bale, wychodzące z ramienia Koła, są w początkach swych podobne do brzemiennéj deszczem chmury, która chciałaby się wypadać, lecz nie może się porządnie zebrać i każdéj chwili grozi rozleceniem się na cztery wiatry I jakże ma być inaczéj, kiedy żadna kropla nie śmie zrobić początku. Biedna młodzież przechadza się niecierpliwie po sali i kurytarzach i ze zwróconemi ku drzwiom oczyma czeka, rychło pierwsza suknia balowa ukaże się w progu. Lecz daremnie.

Raz poraz tylko wejdzie do garderoby jaki papa, widocznie zakłopotany i przechodząc do sąsiedniego lokalu Kółka, zerka z pod oka na salę lub liczy wiszące na krzyżach futra. Czasem też jaki wyrostek, któremu z nosa wyczytasz, że jest bratem sióstr, wybierających się na dzisiejszą zabawę, lub zadyszana służąca wbiegną do sieni i nieśmiało do koła się obejrzą. Są to wysłannicy ostrożnych mamuń, które wpierw zasięgają języka, zanim przedsięwezmą wyprawę. Wreszcie którakolwiek z dam odważy się pierwszy uczynić krok i wejść z córkami na pustą salę. Na chórku widzów natychmiast ruch się wielki robi, wszystkie lunety tego karnawałowego obserwatoryum zwracają się skwapliwie na owe pierwsze gwiazdki, a druty telegraficzne roznoszą na wszystkie strony miasta wieść, że już bez skompromitowania swego bon ton można przyjechać do Bazaru. Około dziesiątéj jest już tyle par, że można zacząć polkę.

XX.

---

* W ostatniéj Sobotniéj pogadance zaszło koło końca kilka psujących sens pomyłek drukarskich, za które czytelników naszych i pana XX. najuniżéj przepraszamy. I tak zam. „zapowiedzianéj w upragnieniu" należy czytać: „zapow. w programie", zamiast „pozosta": pozostawiła" zamiast „chciałeś": „chciałem", zamiast „Rzuciła": „Rzuciłem."

Przyp. Red.

ROZMAITOŚCI.

Medycyna u Hottentotów.

Przylądek Dobréj Nadziei, a szczególnie północne jego części obfitują wwielkie mnóstwo jadowitych wężów, szkorpionów i pająków, których ukąszenie niechybną śmierć sprowadza. Oświeceńsza część mieszkańców kolonii ratuje się w takich razach użyciem szczypiącego amonium, ale w rozległych pustyniach wybrzeża, gdzie wszelka pomoc lekarska jest niepodobną, jedyną w takich wypadkach ucieczką Buszmanów są tak zwani lekarze od wężów. Są to krajowcy, którzy mają oryginalny, lecz niechybny sposób leczenia osób dotkniętych trucizną. Jeden z naocznych świadków, podróżny niemiecki Teodor Toepel, tak opisuje zadziwiającą ową kuracyą:

Jakiś Hottentot, ukąszony w ramię przez jadowitego węża, był już blizkim śmierci. Siły coraz bardziéj go opuszczały, cała ręka pomimo spiesznego obandażowania spuchła nadzwyczajnie i pokryła się ciemno-sinemi plamami; chory oddychał ciężko i zaczynał już tracić mowę. W téj chwili wszedł przywołany doktór, stary jakiś Mozambijczyk, popatrzał na zmienioną twarz pacyenta i jego nieruchome oczy, dotknął się jego zimnéj i lipkiéj skóry i w jednéj chwili zbadał cały stan chorego. Natychmiast potarł mocno rękę o własne ciało i przyłożył zwilżone swym potem palce do nosa Hottentota. Chory wstrząsnął się cały, jakby rażony iskrą elektryczną, ale po chwili dawniejsza niemoc ogarnęła go znowu. Doktór miał obrzydliwie przepoconą i brudną czapkę na głowie, zdjął ją wtedy i wycisnął jeden jéj róg w malenkie naczynie wody, z czego powstał odrażający płyn, którego sam zapach już budził wstręt nieprzezwyciężony. Wkrótce potém lekarz ponowił pierwszą swoję próbę, ale tą razą nie odjął zaraz spotniałych palcy od twarzy pacyenta, to też skutek był daleko silniejszy. Chory drgnął kilka razy i podniósł się z wielką trudnością na łóżku, usiłując coś powiedzieć; wtedy doktór wlał mu szybko przygotowany brudny napój w gardło. Po chwili Hottentot wpadł w letargiczne odrętwienie, ale puls bił silniéj i ciało lekko się spociło. W kwadrans późniéj chory otrzymał jeszcze jednę taką porcyą lekarstwa i usnął. Na drugi dzień był zdrów zupełnie, tylko na ręku pozostały mu dwa jasno sine dołki, wyciśnięte jadowitemi zębami węża.

Ale trudniejsze do zwalczenia są trucizny roślinne, jakiemi Buszmanowie napuszczają swoje strzały! To też w razach takiego zatrucia samorodni ci lekarze używają jeszcze silniejszych środków i dają pić pacyentom pewien płyn, który sami produkują. Nieraz się zdarzało, że ranni, opuszczeni już przez lekarzy europejskich, przychodzili zupełnie do zdrowia za użyciem tego środka.

Czapki tych doktorów mają naturalnie nieocenioną wartość w oczach kolonistów, którzy je kupują za drogie pieniądze i z prawdziwą czcią w domu przechowują. Im brudniejsza czapka, tym więcéj ma pokupu!

Dziwna rzecz, że na samych lekarzy wężowych trucizna nie ma żadnego wpływu i bez obawy mogą się oni wystawiać na ukąszenie jadowitych wężów. Charakterystyczną zewnętrzną ich cechą jest pewna żółtość białek ocznych i śliny. Nie ulega wątpliwości, że ciało ich jest przesycone jakąś tajemniczą substancyą, która ma własność neutralizowania trucizny, zaszczepionéj w innym organizmie, a nawet na jadowite płazy podobny wpływ wywiera, jak ich własna trucizna na inne pozbawione téj broni zwierzęta. Wielkie jadowite pająki za dotknięciem brudnego odzienia takiego doktora, wpadają w pewien rodzaj odrętwienia, a nawet po dłuższym czasie zdychają. Tak samo jadowite te węże okazują wyraźny przestrach, w bliskości podobnego talizmanu; wiją się i chciałyby uciekać, ale jakaś dziwna siła odbiera im wszelką władzę i przykuwa je do miejsca.

Lekarze ci przechodzą pewne studya, zanim się mogą poświęcić swemu rzemiosłu. Podobno głównie używają świeżych korzeni wężowych (Garuleum bipinnatum Less.) i nacierają sobie ciało sokiem wielkiéj cebulkowéj rośliny (może Buphone toxicaria.) Ale są to tylko domysły. Każdy taki hottentocki kandydat medycyny musi się poddać próbom umyślnego zatrucia przez jadowite zwierzęta, a o ile możności nauczyciele jego pozostawiają saméj naturze cały przebieg choroby, unikając wszelkich lekarstw neutralizujących truciznę.

To pewna, że istnieją rośliny, które mają cudowną własność niszczenia trucizny w organizmie zwierzęcym i ubezpieczania go nadal od szkodliwego jéj wpływu. Pewien właściciel folwarku na Przylądku Dobréj Nadziei, chcąc wytępić ogromne mnóstwo węży, zapełniających tę okolicę, utrzymywał całą sforę psów, które śmiało rzucały się na najjadowitsze płazy i wychodziły zawsze cało z téj niebezpiecznéj walki pomimo ran im zadanych. Psy te zawsze z początku po takich próbach biegły natychmiast w pole i chciwie jadły liście czy też korzenie jakichś roślin, poczém pół dnia leżały prawie bez życia, ale późniéj przychodziły do zdrowia. Po niejakim czasie natura ich tak się zahartowała, że i bez użycia tego lekarstwa żadne jadowite ukąszenie im nie szkodziło.

z.

Różne myśli.

Gdy słońce geniuszu stoi w zenicie, nikt w oczy zajrzeć mu nie śmie, lecz niech się ku zachodowi pochyli, a wnet każdy ciemnych plam w niém się dopatrzy.

Przysłowia i dowcipy święcą same przez się, lecz użyte w miejscu, zdwajają blask swój, jak światło w szkło ujęte.

Szarada.

W pierwszém i trzeciém dawni rycerze
Spór o ojczyste toczyli sprawy.
(A z tą nadzieją wytrwajmy szczerze,
Że cnéj swobody wrócą objawy!)
Pierwszéj — drugiéj — trzeciéj często dogadzają
Ale też i głodzą — biczem podcinają.
Czwarte, pół imienia,
Które z nieszczęść słynie —
I pół tego brzmienia
Daleko ztąd płynie.
Czwarte i piąte — och bywa różne!
Pracy — sławy — uczone — i próżne.
Wszystko obfite w natury wdzięki —
Lecz doń i sztuka przykłada ręki.

*) Kto pierwszy do wtorku, 9 mb. wieczorem przyśle rozwiązanie tej szarady, otrzyma w nagrodę Poezye Zaleskiego, 2 tomy.

(Rozwiązanie zagadki w nr. 5: **Kulik** i **Kulig**.)

PUSZKA DO LISTÓW.

J. Ks. Chm. w Pod. Koś.: Dziękujemy za szarady; Oryl kosztuje 7 sgr. 7 Fen. — w anonsie była omyłka. — Panu T. we Lwowie: Posłaliśmy do Gaz. Toruń., otrzymawszy równocześnie taki sam artykuł od stałego naszego współpracownika. — Panu Boh. Brz.. Umieścimy dosłownie w najbliższym numerze. X. S. T.: Ślicznie dziękujemy; kilka nieprzydatnych dla nas rzeczy z dawniejszéj przesyłki nie omieszkamy zwrócić. Panu Bol. Pr. Cho.: „Szyldkret" albo szylkret, oznacza nie żółwia, lecz materyał toczkarski, wyrabiany z jego skorupy, Wyraz ten, używany przez najlepszych pisarzy, niema swojskiego równoznacznika. Por. Pan Lindego i Encykłop. Orgelbranda. Szkoda, że zwykle mówią czernina a nie czarnina. — Jeden z abonentów („czas") czemu koniecznie zaraz? — Panu Czel. w Św. Nie będziesz Pan potrzebował kłaniać się nam, bo „Marzenie" nam się podoba. P. T. R. w Poz.: Do tego numeru przyszło już za późno. — Panu Kaw. w Cyran.: Umieścimy niezadługo z prawdziwą przyjemnością.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.